

KLASYKA MNIEJ ZNANA



Eliza Orzeszkowa

MARTA

universitas

MARTA

KLASYKA MNIEJ ZNANA

Eliza Orzeszkowa

MARTA

Kraków

© Copyright by Towarzystwo Autorów
i Wydawców Prac Naukowych UNIVERSITAS, Kraków

ISBN 97883-242-1076-3
TAiWPN UNIVERSITAS

Projekt okładki i stron tytułowych
Ewa Gray

www.universitas.com.pl

Życie kobiety to wiecznie gorejący płomień miłości – powiadają jedni.

Życie kobiety to zaparcie się – twierdzą inni.

Życie kobiety to macierzyństwo – wołają tamci.

Życie kobiety to igraszka – żartują inni jeszcze.

Cnota kobiety to ślepa wiara – chórem zgadzają się wszyscy.

Kobiety wierzą ślepo; kochają, poświęcają się, hodują dzieci, bawią się... spełniają zatem wszystko, co świat spełniać im nakazuje, a jednak świat krzywo jakoś na nie spogląda i od czasu do czasu odzywa się w kształcie wyrzutu lub napomnienia.

– Żle dzieje się z wami!

Spomiędzy kobiet samych przenikliwsze, rozumniejsze lub nieszczęśliwsze, wglądając w siebie lub rozglądając się dokoła, powtarzają:

– Żle dzieje się z nami!

Na wszelkie złe niezbędnym jest środek zaradczy; ci i owi upatrują go w tym lub w owym, ale choroba nie ustępuje przed receptą.

Niedawno jeden z najsluszniej poważanych w kraju naszym pisarzy (pan Zachariasiewicz w powieści pt. „Albina”) podał do wiadomości publicznej, że kobiety fizycznie i moralnie chorują dlatego, że brak im wielkiej miłości (naturalnie dla mężczyzny).

Nieba! jakaż to olbrzymia niesprawiedliwość!

Niech różowy bożek Eros zleci nam ku pomocy i zaświadczy, iż całe życie nasze nie jest czym innym jak kadzidłem na cześć jego nieustannie palonym!

Zaledwie odróślony od ziemi, słyszymy już, że przeznaczeniem naszym będzie kochać jednego z panów stworzenia; podlotki, marzymy o tym panu i władcy każdego wieczora, w którym na niebiosach księżyc świeci lub gwiazdy błyszczą, każdego poranku, w którym śnieżne lilie rozwijają ku słońcu wonne swe kielichy, marzymy i wzdychamy. Wzdychamy do chwili, w której wolno nam

będzie, jak liliom ku słońcu, zwrócić się ku temu, który z mgły porannych obłoków lub powodzi księżycowego światła wyłania się przed wyobraźnią naszą z postacią Adonisa śpiącego na tajemnicy... Potem... cóż potem? Adonis zstępuje z chmur, wciela się, zamieniamy z nim obrączki i wychodzimy za mąż... Jest to także akt miłości, a chociaż wyżej nadmieniony pisarz w bardzo zresztą pięknych swych powieściach utrzymywać chce, iż zawsze i nieodmiennie jest to tylko akt rachuby, nie zgadzamy się z nim w tej mierze. Akt rachuby w wyjątkowych sferach i okolicznościach, powszechnie bywa to akt miłości. Jakiej miłości? Wcale to już inna a wielce subtelna i długiego mówienia o sobie wymagająca materia, dość przecież, że gdy w białych muslinach wstydliwą twarz słońcąc tiulowymi zwojami idziemy do ołtarza, śliczniutki Eros leci przed nami i wstrząsa nam nad głową pochodnią o różanych płomykach.

Potem? cóż potem? Kochamy znowu... Jeżeli nie tego z pańów stworzenia, który podlotkowi objawiał się w marzeniu, a dziewicy obrączkę ślubną na palec włożył – to innego, jeżeli zresztą nie kochamy żadnego, to kochać pragniemy... usychamy, suchot dostajemy, jęzami częstokroć się stajemy z pragnienia kochania...

A z tego wszystkiego co wynika? Jedne z nas, otulone skrzydłami bożka miłości, przelatują wprawdzie przez całe życie uczciwie, cnotliwie i szczęśliwie, inne przecież, liczniejsze, daleko liczniejsze, zakrwawionymi stopami chodzą po ziemi, walcząc o chleb, o spokój, o cnotę, lży lejąc obfite, cierpiąc straszliwie, grzesząc okrutnie, spadając w otchłanie wstydu, umierając z głodu...

Recepta tedy zamykająca się w słowie k o c h a j c i e! nie na wszystkie służy choroby.

Może by dodać jej jedną jeszcze ingrediencję, aby skuteczniejszą była.

Jaką?

Powie nam to może karta wydarta z życia kobiety...

*

Ulica Graniczna jest jedną z dość ożywionych ulic Warszawy. Lat temu parę w bardzo piękny dzień jesienny ulicą tą szło i jechało mnóstwo ludzi, z których każdy śpieszył to do interesów swych,

to do przyjemności; nie oglądał się ani na lewo, ani na prawo i wcale a wcale nie zwracał uwagi na to, co działo się w głębi jednego z dziedzińców, ulicy dotykających.

Dziedziniec to był czysty, dość obszerny, z czterech stron otoczony wysokimi murowanymi budowlami. Budowla znajdująca się w głębi była najmniejsza, ale po wielkich oknach, szerokim wejściu i ładnym ganku wejście to przyozdabiającym wnosić można było, że znajdujące się w niej mieszkania były wygodne i ozdobne.

Na ganku stała młoda kobieta w żałobnej sukni z bladą bardzo twarzą. Błada również i w żałobę przyodziana czteroletnia dziewczynka czepiała się rąk jej, które, nie załamane wprawdzie, zwisały jednak bezsilnie, nadając postaci kobiety pozór wielkiego smutku i zniekania.

Z czystych, szerokich wschodów prowadzących na wyższe piętro budowli schodzili wciąż ludzie w grubej odzieży i grubym, opylonym obuwiu. Byli tam tragarze niosący najrozmaitsze sprzęty, jakimi tylko napełnionym i przybranym być może mieszkanie, jeśli niezbyt obszerne i wytworne, to przynajmniej ładnie i wygodnie urządzone. Były tam łóżka mahoniowe, kanapy i fotele obite pąsowym wełnianym adamaszkiem, kształtne szafy i komody, parę konsolek nawet z marmurowymi płytami, parę sporych zwierciadeł, dwa wielkie drzewa oleandrowe w doniczkach i datura, na której gałęziach zwieszało się jeszcze kilka niezupełnie okwitłych kielichów białego kwiecia.

Tragarze wszystkie przedmioty te znosili ze wschodów i mijając stojącą na ganku kobietę, ustawiali je na bruku dziedzińca albo umieszczali na dwóch wozach w bliskości bramy stojących, albo jeszcze wynosili na ulicę. Kobieta stała nieruchomo i wiodła oczami za każdym z wynoszonych sprzętów. Znać było, że przedmioty te, z którymi rozstawała się widocznie, posiadały dla niej nie tylko materialną cenę; żegnała je ona tak, jak się żegna widome znaki, kreślące przed oczami naszymi dzieje znikłej bezpowrotnie przeszłości, jak się żegna niemych świadków utraconego szczęścia. Błade czarnookie dziecię silniej pociągnęło suknię matki.

– Mamo! – szepnęła dziewczynka – patrz! biurko ojca!

Tragarze znosili ze wschodów i ustawiali na wozie obszerne biurko męskie, zielonym sukniem obite i ładnie rzeźbioną galeryjką ozdobione. Kobieta w żałobie długim spojrzeniem okryła sprzęt wskazywany jej drobnym paluszkiem dziecka.

– Mamo! – szeptała dziewczynka – czy widzisz tę wielką czarną plamę na biurku ojca?... Ja pamiętam, jak się to stało... Ojciec siedział przed biurkiem i trzymał mię na kolanach, ty, mamo, przyszedłaś i chciałaś mię ojcu odebrać. Ojciec śmiał się i nie oddawał mię, ja swawoliłam i rozlałam atrament... Ojciec nie gniewał się. Ojciec był dobry, nigdy nie gniewał się ani na mnie, ani na ciebie...

Dziecko szeptało słowa te, kryjąc twarzyczkę w fałdy żalobnej sukni matczynej, całym drobnym ciałkiem swym tuląc się do jej kolan. Znać i nad tym dziecinnym sercem wspomnienia wywierały już moc swoją, ściskając je bólem nieświadomym samego siebie. Z suchych dotąd oczu kobiety spłynęły dwie łzy grube; chwila wywołana przed pamięć jej słowami dziecka, zagubiona niegdyś w milionach chwil podobnych jej, codziennych, uśmiechnęła się teraz ku nieszczęśliwej czarującej goryczą utraconego raj. Być może, iż pomyślała także, że swoboda, wesołość owej chwili opłaconą została dziś utratą jednego z ostatnich kęsów chleba, pozostałych jej i jej dziecku, opłaconą zostanie jutro – głodem; plama atramentowa, powstała wśród śmiechu dziecka i pocałunków rodziców, kilkanaście złotych ujęła wartości sprzętu.

Po biurku ukazał się na dziedzińcu ładny kralowski fortepian, ale kobieta w żalobie obojętniej już za nim wzrokiem powiodła. Nie była znać wcale artystką, instrument muzyczny najmniej obudzał w niej żalów i wspomnień, za to malutkie mahoniowe łóżecko, orzucone nakryciem z kolorowej włóczki wyrabianym, wyniesione z domu i ustawione na wozie, przykuło do siebie spojrzenie matki, napełniło łzami oczy dziecięcia.

– Łóżecko moje, mamo! – zawołała dziewczynka – ludzie ci i łóżecko moje zabierają, i tę kołderkę, którąś mi sama zrobiła! Ja nie chcę, aby oni to zabierali! Odbierz, mamo, od nich łóżecko moje i kołderkę.

Za całą odpowiedź kobieta przycisnęła silniej do kolan głowę płaczącego dziecka, oczy jej czarne, piękne, zapadłe nieco, suche były znowu, blade, delikatne usta zwarte i milczące.

Ładne dziecięce łóżecko owo było już ostatnim z wyniesionych sprzętów. Otworzono na oścież bramę, wozy naładowane sprzętami wjechały w ładną ulicę, za nimi odeszli tragarze, niosąc na barkach resztę ciężarów, a zza szyb kilku sąsiednich okien pozniakały głowy ludzkie, ciekawie dotąd na dziedziniec wyglądające.

Ze wschodów zstąpiła młoda dziewczyna w okryciu i kapeluszu i stanęła przed kobietą w żałobie.

– Pani – rzekła – załatwiłam już wszystko... zapłaciłam, komu było potrzeba... oto jest reszta pieniędzy...

Mówiąc to, młoda dziewczyna podawała kobiecie w żałobie mały zwój asygnat.

Kobieta z wolna zwróciła twarz ku niej.

– Dziękuję ci, Zosiu – rzekła cicho – byłaś dla mnie bardzo dobrą.

– Pani to byłaś zawsze dobrą dla mnie – zawołała dziewczyna – służyłam u pani cztery lata i nigdzie nie było mi i nie będzie już lepiej jak u pani.

Rzekłszy to, przeciągnęła po oczach zwilżonych łzami rękę, na której znaczne były ślady igły i żelazka, ale kobieta pochwyciła rękę tę zgrubiałą i ucisnęła ją silnie w swych białych drobnych dłoniach.

– A teraz, Zosiu – rzekła – bądź zdrowa...

– Ja panią odwiozę do nowego mieszkania – zawołała dziewczyna – zaraz zawołam dorożki.

W kwadrans po tej rozmowie dwie kobiety i dziecię wysiadły z dorożki przed jedną z kamienic przy ulicy Piwnej stojących.

Kamienica to była wąska od frontu, ale wysoka, trzypiętrowa, pozór miała stary i dość smutny.

Mała Jancia szeroko otwartymi oczami patrzyła na ściany i okna budowy.

– Mamo, czy tu mieszkać będziemy?

– Tu, moje dziecko – cichym zawsze głosem odparła kobieta w żałobie i zwróciła się do stojącego w bramie stróża:

– Proszę pana o klucz do mieszkania, które dwa dni temu najęłam.

– A! na facjatce zapewne – odparł stróż i dodał: – Niech pani idzie na górę, otworzę zaraz.

Z małego kwadratowego podwórka, z dwóch stron otoczonego ślepy murem ceglastej barwy, a z dwóch innych starymi, drewnianymi drwalniami i spichrzami, kobiety i dziecię weszły na wschody wąskie, ciemne i brudne. Młoda dziewczyna wzięła dziecię w objęcia i poszła przodem, kobieta w żałobie z wolna postępowwała za nią.

Izba, której drzwi stróż otworzył, była dość obszerna, ale niska

i ciemna, jedno niewielkie okienko, otwierające się nad dachem, źle ją oświetlało, sufit, pochylający się z góry na dół w ukośnej linii, zdawał się uciskać ściany, od których wiał wilgotny zapach wapna, jakim świeżo je znać pobielono.

W kącie obok pieca z prostej cegły był tam niewielki komin do gotowania, naprzeciw pod jedną ze ścian stała niewielka szafka, dalej jeszcze łóżko bez poręczy, kanapka podartym perkalem obita, stół na czarny kolor umalowany i kilka żółtych krzesłek ze słomianą siatką, w części porwana i wklęsła.

Kobieta w żalobie zatrzymała się chwilę na progu, orzuciła izbę powolnym spojrzeniem, po czym postąpiwszy kilka kroków, opuściła się na kanapkę.

Dziecię stanęło przy matce i nieruchome, blade wodziło dokoła oczami, w których malowały się zdziwienie i przestrasz.

Młoda dziewczyna odprawiła dorożkarza, który wniósł do izby dwa małe tłomoczki, i krzątać się zaczęła koło uporządkowania rzeczy z tłomoczków wyjętych.

Nie było ich wiele, porządkowanie więc trwało krótko. Dziewczyna, nie zdejmując okrycia i kapelusza, ułożyła w jednym z tłomoczków parę sukienek dzieciennych i troszkę bielizny, drugi wypróżniony usunęła w kąt izby, łóżko zasłała dwoma poduszkami i wełnianą kołdrą, u okna zawiesiła białą firankę, w szafie ustawiła kilka talerzy i garnuszków, dzbanek gliniany do wody, takąż miednicę, mosiężny lichtarz i mały samowarek. Uczyniwszy to wszystko, wzięła jeszcze zza pieca wiązkę drewek i rozpałała na kominie wesoly ogień.

– Ot, tak – rzekła, powstając z klęczek i twarz zarumienioną od rozdmuchiwania płomienia zwracając ku nieruchomej kobiecie – rozpałałam ogień i zaraz tu będzie pani cieplej i widniej. Drzewo na opał – mówiła dalej – znajdzie pani za piecem, będzie tam tego pewnie na jakie dwa tygodnie, suknie i bielizna w tłomoku, naczynia kuchenne i kredensowe w szafie, świeca wprawiona w lichtarz także w szafie.

Mówiąc to, poczciwa sługa zdobywała się widocznie na ton wesoly, ale uśmiech zsuwał się z ust jej, a oczy napływały łzami.

– A teraz – rzekła ciszej, składając ręce – a teraz, pani moja, trzeba mi już iść!

Kobieta w żalobie podniosła głowę.

– Trzeba ci już iść, Zosiu – powtórzyła – to prawda – dodała,

rzucając spojrzenie za okno – zmierzchać już zaczyna... będzie ci straszno iść wieczorem przez miasto.

– O, nie to, droga pani! – zawołała dziewczyna – ja dla pani poszłabym w noc najciemniejszą na koniec świata... ale... nowi moi państwo jutro bardzo rano wyjeżdżają z Warszawy i kazali mi przyjść przed zmrokiem. Muszę iść, bo będę im dziś jeszcze potrzebna...

Przy ostatnich wyrazach młoda służąca schyliła się i ujawniła białą rękę kobiety, chciała podnieść ją do ust. Ale kobieta podniosła się nagle i oba ramiona zarzuciła na szyję dziewczyny. Obie płakały, dziecko rozplakało się także i obiema rączkami pochwyciło sukienne okrycie służącej.

– Nie idź, Zosiu! – wołała Jancia – nie idź! tu tak straszno jakoś, tak smutno!

Dziewczyna całowała dawną panią swoją w ramiona i w ręce, przyciskała do piersi płaczące dziecko.

– Muszę, muszę iść! – powtarzała, łkając – mam biedną matkę i małe siostry, muszę dla nich pracować...

Kobieta w żalobie podniosła twarz bladą i wyprostowała wiotką kibić.

– I ja także, Zosiu, pracować będę – wyrzekła głosem pewniejszym niż ten, którym przemawiała dotąd – i ja mam dziecko, na które pracować powinienam...

– Niech Pan Bóg cię nie opuszcza i błogosławi, dobra, droga pani moja! – zawołała młoda służąca i raz jeszcze ucałowała ręce matki i zapłakaną twarzyczkę dziecka, nie oglądając się, wybiegła z izby.

Po wyjściu dziewczyny zrobiła się w izbie wielka cisza, przerywana tylko trzaskiem ognia palącego się na kominie i gwarem ulicy glucho i niewyraźnie dochodzącym na wysokie poddasze. Kobieta w żalobie siedziała na kanapce, dziecko płakało zrazu, potem przytuliło się do piersi matki, ucichło i zmęczone usnęło. Kobieta wsparła głowę na dłoni, ramieniem opasała drobną kibić śpiącego na kolanach jej dziecięcia i nieruchomymi oczami wpatrzyła się w migotliwy blask płomienia. Z odejściem wiernej i przywiązanej sługi odeszła od niej ostatnia twarz ludzka, która była świadkiem jej przeszłości, ostatnia podpora, pozostała jej po zniknięciu wszystkiego, co wprzód służyło jej wsparciem, pomocą i usługą. Pozostała teraz sama, oddana na moc losu, trudy samotnej doli, siłę własnych

dłoni i głowy, a z nią razem była tylko ta mała, słaba istotka, która mogła tylko przy piersi jej szukać spoczynku, od ust żądać pieśczo-ty, z dłoni jej wyglądać pożywienia. Dom jej, niegdyś urządony dla niej kochającą ręką męża, opuszczony przez nią, przyjmował teraz w ściany nowych mieszkańców; dobry, ukochany człowiek, który dotąd otaczał ją miłością i dostatkami, od kilku dni spoczywał w mogile...

Wszystko minęło... miłość, dostatek, spokój i pogoda życia, a jedynym śladem znikłej jak sen przeszłości były dla nieszczęśliwej kobiety bolesne wspomnienia i to blade, wątłe dziecię, które teraz, otworzywszy oczy ze snu chwilowego, zarzuciło jej rączką na szyję i drobne usteczka przyciskając do jej twarzy, szepnęło:

– Mamo! daj mi jeść!

Teraz jeszcze prośba ta nie miała w sobie nic takiego, co by obudzić mogło obawę lub smutek w sercu matki. Wdowa sięgnęła do kieszeni i wydobyla pugilares zawierający kilka asygnat – cały majątek jej i córki.

Zarzuciła chustkę na ramiona i powiedziawszy dziecku, aby spokojnie na powrót jej czekało, wyszła z izby.

W połowie wschodów spotkała stróża, który wiązkę drzewa niósł do jednego z mieszkań znajdujących się na pierwszym piętrze.

– Kochany panie – rzekła wdowa uprzejmie i nieco nieśmiało – czy nie mógłbyś pan mi przynieść z jakiego bliskiego sklepiku mleka i bułek dla dziecka?

Stróż nie zatrzymując się, słów tych wysłuchał, po czym odwrócił głowę i odparł z zaledwie tajoną niechęcią:

– A kto tam ma czas chodzić po mleko i bułki... Ja tu nie dlatego jestem, abym lokatorom jedzenie przynosił.

Wymawiając ostatnie słowa, zniknął za załomem muru. Wdowa zstąpiła niżej.

„Nie chciał mi oddać przysługi – myślała – bo domyśla się, że jestem biedną... Tym, od których spodziewa się otrzymać zapłatę, ciężką wiązkę drzewa poniósł.”

Zeszła aż na dziedziniec i rozejrzała się dokoła.

– A czego to pani tak się ogląda? – zabrzmiał koło niej głos kobiety, chropowaty i niemiły.

Wdowa ujrzała stojącą przed niskimi drzwiczkami znajdującymi się w pobliżu bramy kobietę, której twarzy w zmroku nie rozpoznawała, ale której krótka spódnica, wielki płócienny czepiec i gru-

ba chustka krzywo na plecy zarzucona, a także dźwięk głosu i ton mówienia oznajmiały kobietę z ludu. Wdowa domyśliła się w niej żony stróża.

– Moja dobra pani – rzekła – czy nie znajduję tu kogo, kto by mi przyniósł mleka i bułek?

Kobieta namyślała się chwilkę.

– A z którego to piętra? – zapytała – cościś ja pani jeszcze nie znam.

– Dziś zamieszkałam na facjatce...

– A, na facjatce! To po cóż asani gadasz o przynoszeniu ci tam czegoś? nie możesz sama pójść do miasta?

– Zapłaciłabym za fatygę – szepnęła wdowa, ale żona stróża nie słyszała czy udała, że nie słyszy słów jej, otuliła się lepiej chustką i zniknęła za małymi drzwiczkami.

Wdowa stała przez chwilę nieruchoma, nie wiedząc widocznie, co czynić i do kogo się już udać, westchnęła i opuściła ręce: po chwili jednak podniosła głowę i wszedłszy w bramę, otworzyła furtkę wiodącą na ulicę.

Wieczór nie był jeszcze późny, ale dość ciemny, rzadkie latarnie źle oświecały ulicę wąską i napelnioną tłumami ludzi; na chodnikach były szerokie miejsca w zupełnych prawie pograżone cieniach. Fala chłodnego jesiennego wiatru wpłynęła w bramę przez otwartą furtkę, rzuciła się w twarz wdowy i zakręciła końcami czarnej jej chustki; turkot dorożek i gwar zmieszanych rozmów ogłuszył ją, cienie zalegające chodniki przeraziły. Cofnęła się kilka kroków w głąb bramy i stała znowu chwilę ze spuszczoną głową, nagle jednak wyprostowała się i postąpiła naprzód. Przypomniła sobie może dziecko swe, które czekało pożywienia, albo uczuła, iż powinna była zdobyć od woli swej i odwagi to, co odtąd zdobywać już jej przyjdzie w każdym dniu, w każdej godzinie. Zarzuciła chustkę na głowę i przestąpiła próg furtki. Nie wiedziała, w której stronie szukać należało sklepiku z wiktuałami. Uszła spory kawał, pilnie przyglądając się wystawom okien sklepowych, minęła parę dystrybucji cygar, jakąś kawiarnię, jakiś sklep z bławatnymi towarami i wróciła. Nie śmiała dalej zapuszczać się w ulicę ani prosić kogo o objaśnienie. Udała się w inną stronę. Po kwadransie wracała z kilku bułkami w białej chusteczce. Mleka nie przynosiła: nie było go w sklepiku, w którym znalazła bułki. Nie chciała, nie mogła szukać dłużej, niespokojną była o dziecko, wracała szybko, biegła

prawie. Była już o kilka kroków od bramy, gdy tuż za sobą usłyszała głos męski nucący piosenkę:

„Stój, zaczekaj, moja duszko, skąd drobniutką strzyżesz nóżką”. Usiłowała w duchu upewnić siebie, że piosenka nie do niej się stosuje, przyspieszyła kroku i już dotykała furtki, gdy głos śpiewający przemienił się w mówiący.

– Dokąd tak pilno? dokąd? Wieczór piękny! może by trochę pospacerować!

Bez tchu, drżąca cała z trwogi i obrazy, młoda wdowa wpadła w bramę i furtkę za sobą zatrzasnęła. W parę minut potem Jancia widząc wchodzącą do izby matkę, rzuciła się ku niej tuląc się w jej objęcia.

– Tak długo nie wracałaś, mamo! – zawołała, ale nagle umilkła i wpatrzyła się w matkę. – Mamo, ty znowu płaczesz i znowu wyglądasz tak... tak jak wtedy, gdy ojca wynoszono w trumnie z naszego mieszkania.

Młoda kobieta drżała w istocie całym ciałem, łzy obfite płynęły po rozognionych jej policzkach. To, co przeniosła przez kwadrans wycieczki swej na miasto, walka z trwożliwością własną, szybki bieg po śliskiej ulicy wśród tłumu ludzi i zimnych fal wichru, obelga nade wszystko, doznana od nieznanego wprowadzie człowieka, ale doznana po raz pierwszy w życiu, wstrząsnęły znacząco ją do głębi. Znać było jednak, że postanowiła zwyciężyć samą siebie na każdym kroku, bo szybko uspokoiła się, otarła łzy, pocałowała dziecko i rozniecając ogień na kominie, rzekła:

– Przyniosłam ci bułek, Janciu, a teraz nastawię samowar i urządzę herbatę.

Wzięła z szafy gliniany dzbanek i zaleciwszy dziecku ostrożność z ogniem, zeszła znowu na dziedziniec ku studni. Wróciła niebawem zdyszana i zmęczona, z ramieniem uginającym się pod ciężarem dzbanka napelnionego wodą; nie spoczęła jednak ani chwili, tylko zaraz wzięła się do nastawiania samowaru.

Czynność ta, którą spełniała widocznie po raz pierwszy w życiu, szła jej z trudnością, niemniej przeto w niespełną godzinę herbata była wypita, Jancia rozebraną i uśpioną. Równy, cichy oddech dziecka oznajmiał sen spokojny, z bladej twarzyczki zniknęły ślady łez, tak obficie przez dzień cały wylewanych.

Ale młoda matka nie spała; w żałobnej sukni swej, z rozpuszczonymi czarnymi warkoczami, z twarzą opartą na dłoni, siedziała

nieruchoma naprzeciw dogasającego ogniska i myślała. Zrazu gryząca boleść sfałdowała białe czoło jej w kilka zmarszczek głębokich, oczy zaszyły łzami, pierś podnosiła się ciężkim westchnieniem. Po chwili jednak wstrząsnęła głową, jakby odpędzić chciała oblegające ją tłumy żalów i obaw, powstała, wyprostowała kibić i rzekła z cicha:

– Nowe życie!

Tak, kobieta ta, młoda, piękna, z białymi rękami i wiotką kibicią, wstępowała w nowe dla siebie życie, dzień ten miał być dla niej początkiem nieznaney przyszłości.

Jakż była jej przeszłość?

*

Przeszłość Marty Świckiej krótką była ze względu na lata, prostą ze względu na wypadki.

Marta urodziła się w dworku szlacheckim, niezbyt wspaniałym i bogatym, ale ozdobnym i wygodnym.

Posiadłość ojca jej, o kilka mil zaledwie od Warszawy położona, składała się z kilkunastu włók urodzajnej ziemi, kwiecistej, sporą przestrzeń gruntu zajmującej łąki, pięknego brzoźowego gaju, który dostarczał opału w zimie i ponętnych przechadzek w lecie, z obszernego sadu pełnego drzew owocowych i ładnego domku z sześciu frontowymi oknami, wychodzącymi na okrągło wykrojony, gładką murawą zasłany dziedziniec, z zielonymi, wesoło wyglądającymi żaluzjami, z gankiem o czterech słupach, na które pięły się fasole z pąsowym kwieciem i powoje o bujnych liliowych kielichach.

Nad kolebką tedy Marty słowiki śpiewały i stare lipy poważnymi czołami powiewały, róże kwitły i kłosa pszeniczne fale złota toczyły. Pochylała się też nad nią piękna twarz matki i gorącymi pocałunkami okrywała czarnowłosą główkę dziecięcia.

Matka Marty była kobietą piękną i dobrą, ojciec człowiekiem ukształconym i także dobrym. Jedyne dziecię rodziców tych wzrosło śród miłości ludzi i pieśczoł dostatku.

Pierwszą boleścią, która spadła na bezchmurne dotąd życie pięknej, wesołej, hożej dziewczyny, była utrata matki. Marta miała wtedy lat szesnaście, rozpaczała czas jakiś, tęskniła długo, ale młodość balsam gojący położyła na pierwszą ranę jej serca, rumieńce odkwitły na jej twarzy, wesołość, nadzieje i marzenia wróciły.

Inne przecież klęski nadeszły wkrótce. Ojciec Marty w części nieopatrznością własną, a głównie wskutek zaszłych w kraju zmian ekonomicznych ujrzał się zagrożonym utratą swej posiadłości. Zdrowie jego zachwiało się, przewidywał zarówno upadek swej fortuny, jak bliski koniec życia. Los jednak Marty zdawał się już wtedy zabezpieczonym. Kochała i była kochaną.

Jan Świcki, młody urzędnik zajmujący dość wysoką już posadę w jednym z biur rządowych w Warszawie, pokochał piękną czarnoooką pannę i wzbudził w niej wzajemne uczucie szacunku i miłości. Ślub Marty o kilka tygodni zaledwie poprzedził śmierć jej ojca. Zrujnowany szlachcic, który niegdyś marzył może dla jedy-naczki swej o świetniejszym losie, z radością składał dłoń jej w rękę niemającego, lecz pracowitego człowieka; myśląc, iż wraz z odejściem Marty od ślubnego ołtarza przyszłość jej otrzymała dostateczne ochrony od cierpień samotności i niebezpieczeństw ubóstwa, umarł spokojnie.

Marta po raz drugi w życiu spotkała się z wielką boleścią, ale tym razem koła ją nie tylko już sama młodość, ale i miłość żony, a potem matki. Piękne miejsce jej rodzinne zostało dla niej na zawsze straconym, przeszło w ręce ludzi obcych, ale natomiast ukochany i kochający mąż wśród gwaru miejskiego usłał jej miękkie, ciepłe, wygodne gniazdo, w którym wkrótce ozwał się srebrzysty głos dziecięcia.

Śród uciech i obowiązków rodzinnych pięć lat zeszło dla młodej kobiety szczęśliwie i szybko.

Jan Świcki pracował sumiennie i umiejętnie, pobierał znaczną płacę, dość znaczną, aby móc otoczyć kobietę, którą kochał, wszystkim, do czego od kolebki przywykła, co stanowić mogło urok każdej chwili, spokój każdego jutra. Każdego? Nie! Najbliższego tylko. Jan Świcki nie był dość opatrzny, aby myśleć o dalszej przyszłości z najmniejszym choćby uszczerbkiem dla pory obecnej.

Młody, silny, pracowity, liczył na młodość swą, siłę i pracowitość, myśląc, iż skarby te nie wyczerpią się nigdy. Wyczerpały się jednak zbyt prędko. Mąż Marty uległ chorobie ciężkiej i nagłej, z której nie uratowały go rady lekarzy ani starania zrozpaczonej żony. Umarł. Wraz ze śmiercią jego skończyło się nie tylko szczęście domowe Marty, ale usunęła się spod stóp jej podstawa materialnego jej bytu.

Nie na zawsze więc ślubny ołtarz uratował młodą kobietę od cierpień samotności i niebezpieczeństw ubóstwa. Stary jak świat aksjomat opiewający, że nic nie ma stałego na świecie, sprawdził się na niej o tyle, o ile jest prawdziwym. Nie jest on bowiem prawdziwym w zupełności. Wszystko, co z zewnątrz ku człowiekowi przybywa, mija i mieni się dokoła niego pod wpływem tych tysięcznych prądów i zagmatwień, jakimi postępują, w jakie wiążą się społeczne stosunki i ustawy, pod wpływem częstokroć najstraszniejszym, bo najmniej przewidzieć i obrachować się dającym, ślepego trafu. Ale los człowieka na ziemi byłby w istocie pożałowania godnym, gdyby cała moc, wszystkie bogactwa i rękojmie jego zawierały się w tych tylko żywiołach zewnętrznych, zmiennych i umkłych jak fale wodne, poddane rozkazom wichrów. Tak, nic nie ma stałego na ziemi prócz tego, co człowiek posiada we własnej piersi i głowie: prócz wiedzy, która wskazuje drogi i uczy stąpać po nich, prócz pracy, która rozjaśnia samotność i odżegnywa nędzę, prócz doświadczenia, które naucza, i wysoko podniesionych uczuć, które od złego chronią. I tu jeszcze stałość względną jest zapewne, łamie je posępna, lecz niezłomna potęga choroby i śmierci. Ale dopóki niewzruszenie i prawidłowo trwa i rozwija się ten proces ruchu, myśli i uczuć ludzkich, który zwie się życiem, póty człowiek nie rozstaje się z samym sobą, poty sam sobie służy, dopomaga, stale podpira się tym, co uzbierać sobie zdołał w przeszłości, co służy mu orężem w walce z zawikłaniami życia, ze zmiennością losu, z okrucieństwem trafu.

Martę zawiodło i opuściło wszystko, co przybywając z zewnątrz przyjaznym jej było dotąd i opiekuńczym. Los, jakiemu uległa, nie był wcale wyjątkowym losem, nieszczęście jej nie wzięło źródła z dziwnej jakiejś, niepospolitej przygody, ze zdumiewającej jakiejś, w rocznikach ludzkości rzadko pojawiającej się katastrofy. Ruina i śmierć odgrywały dotąd w życiu jej rolę niszczycielek spokoju i szczęścia. Cóż pospolitszego wszędzie, coż mianowicie w społeczeństwie naszym pospolitszego nad pierwszą? co konieczniejszego, częstszego, bardziej nieuniknionego nad drugą?

Marta spotkała się oko w oko z tym, z czym spotykają się miliony ludzi, miliony kobiet. Któż w życiu swym po wielokroć nie napotkał ludzi płaczących nad wodami Babilonu opływającymi gruzami utraconej fortuny? Kto zrachuje, ile razy w życiu swym patrzył na szatę wdowią, na blade twarze i łzami zmęczone oczy sierót?

Wszystko więc, co towarzyszyło dotąd życiu młodej kobiety, rozstało się z nią, umknęło od niej, ale ona nie rozstała się z samą sobą. Czym mogła być sama dla siebie samej? co uzbierać sobie zdołała w przeszłości? jakie orężę wiedzy, woli, doświadczenia służyć jej mogły w walce z zawiłkami społecznymi, biedą, trafem, samotnością? W pytaniach tych mieściła się zagadka jej przyszłości, kwestia życia i śmierci jej, i nie tylko jej, ale jeszcze i jej dziecka.

Materialnie młoda matka ta nie posiadała nic albo prawie nic. Paręset złotych, pozostałe ze sprzedaży sprzętów po opłaceniu drobnych długów i kosztów pogrzebu męża, trochę bielizny, dwie suknie – stanowiły cały jej majątek. Klejnotów wielkiej ceny nie miała nigdy; te, które miała, spieniężone przez nią w czasie choroby męża, zapłacili nadaremne rady lekarskie i również nadaremne leki. Ubogie nawet sprzęty napełniające nowe jej siedlisko nie były jej własnością. Wynajęła je razem z izbą na poddaszu, za używanie ich, również jak za izbę, płacić obowiązała się z każdym pierwszym dniem każdego miesiąca.

Była to terazniejszość smutna zapewne, naga, ale wyraźnie już określona. Nieokreśloną pozostawała przyszłość. Trzeba ją było zdobyć, stworzyć niemal.

Czy młoda, piękna ta kobieta ze smukłą kibicią, białymi rękami i jedwabistym kruczym włosom, opływającym kształtną głowę, posiadała jaką siłę zdobywczą? czy z przeszłości swej wyniosła cokolwiek, z czego by stworzyć mogła przyszłość? Myślała o tym, siedząc na niskim drewnianym stolku przed żarzącymi się węglami ogniska. Oczy jej z wyrazem niewymownej miłości tkwiły w dziecięcej twarzyczce, spokojnie uśpionej wśród bieli poduszek.

– Dla niej – wymówiła po chwili – dla siebie, na chleb, na dach, na spokój pracować będę!

Stała przed oknem. Noc była ciemna, Marta nie widziała nic: ani stromych dachów, które jeżyły się poniżej wysokiego poddasza mnóstwem wschodów i załomów, ani ciemnych, zakopcanych kominów nad dachami sterczących, ani latarni ulicznych, których mętne blaski nie dosięgały wysokości jej okienka. Nie widziała nawet nieba, bo pokryte było chmurami i nie świeciło żadną gwiazdą. Ale gwar wielkiego miasta dochodził uszu jej nieustannie, choć nocny, ogłuszający, choć stłumiony odległością. Pora nie była zbyt późną; na szerokich, wspaniałych ulicach zarówno jak

śródm ciasnych i mrocznych uliczek ludzie chodzili jeszcze, jeździli, gonili za przyjemnością, szukali zysku, biegli tam, gdzie wzywała ich ciekawość myśli, rozkosz serca lub nadzieja zdobyczy.

Marta opuściła czoło na splecione ręce i zamknęła oczy. Wsłuchiwała się w tysiączne głosy, złane w jeden głos olbrzymi i choć niewyraźny, monotony, a jednak pełen gorączkowych wybuchów, nagłych uciszeń się, głuchych wykrzyków i tajemniczych szmerów. Wielkie miasto stanęło przed oczami wyobraźni jej w kształcie olbrzymiego ula, w którym poruszało się, wrzało życiem i gonitwą mnóstwo istot ludzkich. Każda z istot tych posiadała miejsce, na którym pracowała, i to, na którym spoczywała, cele, do jakich dążyła, narzędzia, jakimi drogę sobie torowała śród tłumu. Jakim będzie dla niej, dla biednej, w bezbrzeżną samotność strąconej kobiety, miejsce pracy i spoczynku? kędy ten cel, do którego podąży ona? skąd wezmą się oręża, które utorują drogę ubogiej i opuszczonej? A także jakimi będą dla niej te istoty ludzkie, które tam tak gwarzą nieustannie, z których oddechu powstaje ten szmer gorączkowy, w którego to podnoszących się, to opadających falach ona teraz słuch swój zatapia? Będą one dla niej sprawiedliwymi lub okrutnymi, litościwymi lub miłosiernymi? Otworzą się przed krokami jej te ściśle zwarte falangi tłoczące się ku szczęściu i dobrobytowi lub zewrą się ściślej jeszcze, aby nowoprzybyła nie zwięzła im miejsca, nie ubiegła której z nich w mozolnej gonitwie? Jakie ustawy i obyczaje przyjaznymi jej będą, a jakie wrogimi, i których więcej będzie, pierwszych czy drugich? Nade wszystko zaś, nade wszystko – potrafiż ona sama przezwyciężać żywioly wrogie, wyzyskiwać przyjazne, każdą chwilę, każde uderzenie serca, każdą myśl przelatującą przez głowę? każde drgnienie poruszające fibrami ciała skupić w jedną moc rozumną, wytrwałą, niespożytą, w moc taką, jaka jedynie odegnać zdoła nędzę, zabezpieczyć od ponizenia się godność człowieka, uchronić od bezowocnych bólów, rozpaczy i – śmierci głodowej?

W pytaniach tych skupiła się cała dusza Marty. Wspomnienia rozkoszne i zarazem gryzące, wspomnienia kobiety, która niegdyś, hożym i wesołym będąc dziewczęciem, lekkimi stopami deptała świeżą murawę i barwne kwiecie rodzinnej wioski, potem u boku ukochanego męża pędziła dni szczęśliwe, wolne od trosk i smutków, a teraz we wdowiej szacie stała u małego okienka poddasza, z bladym czołem opuszczonym na załamane dłonie – wspomnie-